Jakub Lubelski: Zygmunta Haupta porzucanie literackości

Kim jest ów gigant pióra i dlaczego tak mało o nim wiemy?

Kim jest ów gigant pióra i dlaczego tak mało o nim wiemy? - tekst ukazał się w najnowszym numerze Teologii Politycznej Co Miesiąc nr 4: Ateny, Jerozolima, Rzym

Pawłowi Szelidze, na pamiątkę rozmowy

Konstanty Jeleński – zaproszony jesienią 1981 roku przez Romana Zimanda do Instytutu Badań Literackich PAN na konferencję „Literatura źle obecna” – w odpowiedzi napisał, że nie dostrzega w programie swoich ulubionych pisarzy emigracyjnych,

takich jak Czesław Straszewicz i Zygmunt Haupt. Tego ostatniego rekomendował jako „najlepszego artystę prozy emigracyjnej, który przewyższa o głowę Józefa Mackiewicza”. Tyle anegdota wstępna, a teraz kilka koniecznych założeń ogólnych. Nasza znajomość polskiej literatury emigracyjnej jest bardzo nierówna. Gombrowicz i Miłosz od lat na szczycie, niesłychany renesans Tyrmanda, Mackiewicza czy Bobkowskiego; istnieje jednak wiele nazwisk pisarzy kompletnie zapomnianych. Ale w Polsce literacko „my wszyscy z emigracji”. Nie będzie chyba nadużyciem powiedzieć, że tak jak z przyczyn historycznych pielgrzymujemy do Lwowa i Wilna, by zrozumieć polskość, tak na zachodzie mamy także „swoje” dwa miasta – Paryż i Londyn. To symboliczne uproszczenie, wszak geografia polskiego ducha wskazuje również tereny mieszczące się poza Starym Kontynentem.

Od przywołanej już słynnej konferencji mija 30 lat i dziś – jak przed laty – jakiś nam współczesny Jeleński mógłby zapytać współczesnego Zimanda, gdzie są ci, których czytam i których wśród Polaków widzę najwyżej. W tym miejscu warto wspomnieć pełną wdzięczności opinię Gombrowicza o Jeleńskim, w którym upatrywał autor *Kosmosu* swego najważniejszego promotora za granicą: *Wszystkie wydania moich dzieł w obcych językach powinny być opatrzone pieczątką „dzięki Jeleńskiemu”*. Skoro zatem „taka firma”, ten menedżer polskiej literatury na Zachodzie, właśnie Haupta stawia tak wysoko, to kim jest ów gigant pióra i dlaczego tak mało o nim wiemy? Dlaczego nie ma nagrody literackiej imienia Zygmunta Haupta, festiwalu Zygmunta Haupta, dlaczego wreszcie jego książki nie są wznawiane co dwa lata w coraz to twardszej i atrakcyjniej zaprojektowanej oprawie? Dlaczego również na łamach gazet publicyści nie cytują Haupta, celebryci na Haupta się nie czeszą, a politycy na co dzień w telewizji Hauptem nie mówią? Dlaczego nie ma w naszym doświadczeniu autora *Szpicy*? Nie chodzi nam tu o wyciąganie jakiegoś szlachetnego truchła znikąd, jego odkurzenie i z antykwaryczną nostalgią czynienie szerokiej publiczności wyrzutów, że Haupta nie czyta. Chodzi o ustalenie realnego miejsca Haupta w polskiej kulturze! Nie może to być – rzecz jasna – zadaniem niniejszego szkicu.

Urodził się w 1907 roku w Ułaszkowcach w województwie tarnopolskim. A zatem Haupt, pisarz polski z Podola. Podstawówka – w Tarnopolu, gimnazjum – w Jarosławiu, później – we Lwowie. Studia inżynieryjne – Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, potem – architektura. Po

śmierci ojca wyjeżdża na dwa lata studiować urbanistykę do Paryża. Ha, nie on pierwszy! A Tyrmanda tam wówczas nie było? Po powrocie zajmuje się malowaniem, pisaniem, projektowaniem, alpinizmem, jazdą konną, polowaniem, graniem w amatorskich przedstawieniach teatralnych. W latach 30. powołany do wojska, służył w kawalerii i artylerii zmotoryzowanej. W maju 1939 roku zostaje zmobilizowany, w kampanii wrześniowej walczy na terenie województw południowo-wschodnich. Galicja Wschodnia, a dalej – jak to z niejednym bywało – polskie losy, polska tułaczka… Przedostaje się na Węgry, ucieka z obozu internowania do Francji a następnie słynnym „Batorym" dopływa do Anglii. Służy w szkockim Gosford, potem zamieszkuje w Londynie i rozpoczyna współpracę zarówno z Antonim Słonimskim, jak i z Mieczysławem Grydzewskim. Jednak nie wrasta w „polski Londyn", nie zostaje na wyspie. Po demobilizacji wraz z żoną wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych. Tam maluje, pisze do prestiżowych periodyków oraz prowadzi audycje radiowe, dzięki którym daje się odkryć jako wspaniały gawędziarz. Mimo to radio miał traktować jako zło konieczne, jako źródło zarobkowania, pomagające czytać i pisać. Jak wspomina pisarza Ryszard Mossin: *Haupt uważał, że lepiej jest czasami mniej zarabiać, albo w ogóle nic, przejść na wczesną emeryturę, siedząc na farmie, pisać i przede wszystkim czytać i czytać*. Opinie o Haupcie – znakomite, życiorys – arcypolski, postawa twórcza – radykalna, skąd zatem nieobecność autora *Pierścienia z papieru* w polskim obiegu pisarskim? Przecież nie dlatego, że kiedyś przyszedł do banku i poprosił o pożyczkę, by kupić… konia! Owszem, bankowcy stwierdzili, że klient zwariował, my natomiast musimy porzucić już dającą się nam we znaki wstępną egzaltację i oburzenie, zaniechać okrzyków, jakim to szaleństwem jest brak pamięci o pisarzu z Podola, i podjąć próbę nakierowania na dość istotny rys pisarstwa Zygmunta Haupta.

Niektóre sprawy zapamiętuje się w życiu na zawsze – rozpoczyna Zygmunt Haupt jedno ze swoich najkrótszych opowiadań w wydanym w 1963 roku tomie *Pierścień z papieru – Deszcz*. Lektura tego właśnie tekstu nie dawała spokoju, a niepokój ów kazał wracać do opowiadania wielokrotnie. Czy chodzi o literacki opis spraw najważniejszych? Fundamentalny katalog rzeczy pierwszych? Czy może chodzi o ujętą w szczególną formę literacką anatomię pamięci? I co ma do tego wszystkiego tytułowy deszcz?

W pierwszych dziesięciu zdaniach i tak krótkiego tekstu słowo „deszcz” pada bodaj jedenaście razy. W zaskakujący sposób Haupt balansuje na granicy poprawności stylistycznej, a wręcz kilkakrotnie ją przekracza. Krzysztof Rutkowski, historyk literatury, podsumowując charakter pisarstwa autora *Pierścienia z papieru*, nie tylko potwierdza tę intuicję, ale twierdzi wręcz, że Haupt robi to świadomie. Skraca w ten sposób dystans między sobą piszącym a czytelnikiem. Jego pisanie pełne jest wtrąceń, „ej, zobacz”, „nie wiem czemu, ale chyba jednak tak”, „powiem ci”, „tam, tam, właśnie”. Pełno jest także powtórzeń i niezręczności, służących zapewne wytworzeniu wrażenia autentyczności żywej mowy i odczucia naocznych doświadczeń pisarza. Hauptowi chodzi o możliwie krótki dystans między słowem, opisem a istotą opisywanych zjawisk. Kiedy Haupt pisze o deszczu, to kluczy, wraca, sięga ponownie po te same słowa i o nic innego nie chodzi w tym uwijaniu się, jak tylko o możliwie najwierniejsze ujęcie istoty meteorologicznego zjawiska. Podsumowując swoje pierwsze wrażenia na temat ulewy, autor wraca do użytego przez siebie słowa „szaruga”, która miała być zaciągnięta srebrzystością opadu, i wycofuje się, słowo pochopnie powiedziane, tak jakby niepisane… Szaruga, nie, to nie szaruga. Spontaniczność, nieskrępowanie i lekkość wypowiadanych obserwacji oraz odczuć. *To dziwne – pamiętam deszcz, pamiętam tło tego deszczu, a poza tym niczego więcej już nie pamiętam. Więc czemu tak zapamiętałem ten deszcz? Jeden z tysięcy, jakie padały w mym życiu.*

W dalszej części bohater Haupta poddaje namysłowi wiele przyczyn, z powodu których moglibyśmy ulewę zapamiętać. Może chodzi o pieniądze. Ale i to jest niejasne. Narrator nie jest w stanie zrekonstruować sytuacji do tego stopnia, że nie wie nawet, czy miał pożyczyć, czy być pożyczającym. Wątpliwości się mnożą. Tracimy trochę cierpliwość. Wówczas narrator – niejako przeczuwając nasze zniechęcenie – prowokuje nas drobiazgową analizą potencjalnej sytuacji z dziewczyną. Początkowo rozochoceni, ponownie czujemy, że ktoś nas wpuszcza w maliny. Wyliczanie powodów, dzięki którym bohater zapamiętał deszcz, przeradza się w niezrozumiały dla nas spektakl. To dopiero początek. Wreszcie sugeruje nam narrator trzecią już hipotezę. Może został dokądś wysłany podczas ulewy, w charakterze płatnego mordercy? By i tę hipotezę uwiarygodnić, przystępuje do sensualnego opisu rodem z kryminału, co się działo z

pistoletem i łuskami po nabojach. Mogło więc chodzić o pieniądze, o miłość albo o czyjeś życie – *mogły więc to być sprawy bardzo ważne, szczególnie brzemienne w następstwa. A oto z tamtego czasu zapamiętałem jedynie deszcz* – podsumowuje narrator kolejny raz z zadziwiającą prostotą i spokojem. Jak się wydaje, w *Deszczu* nie chodzi o nic innego, jak tylko o deszcz. *Tak sobie ułożyłem to opowiadanie i teraz przyglądam się swemu dziełu* – ujawnia się w narracji Haupt-Twórca. *O czym ono ma mówić? Co za wieść cholerną ma nieść w sobie? Czy ma to być tylko rodzaj sygnału, ażeby odbiorca tego dopowiedział sobie kompletniej, czy też opowiadanie to jest moim osobistym sztucznym językiem, rodzajem volapüku, który jest tylko dla mnie zrozumiały?* – rozważa Haupt-Twórca.

Johann Martin Schleyer, niemiecki ksiądz rzymskokatolicki, ponoć z boskiego nakazu i natchnienia, postanowił stworzyć język umożliwiający komunikację wszystkim narodom świata. Na bazie łaciny, angielskiego, niemieckiego i francuskiego powstał wolapik. Kiedy Haupt pyta sam siebie, czy opowiadanie *Deszcz*, czy ten dziwny język, w którym go opisuje, jest rodzajem osobistego wolapiku pisarza, to stawia w istocie przedziwne pytanie. Istotą tego sztucznego wytworu było bowiem zbudowanie uniwersalnego mostu komunikacji. Początkowo zdaje nam się, że „niezrozumiały wolapik" to oksymoron. A może *Deszcz* to system dopiero co spisany, może nawet jeszcze niespisany, nieopracowany i nieskodyfikowany, a jednak pisarz posługuje się nim, testuje go, sprawdza jego możliwości? Może pozytywna wersyfikacja umożliwi dopiero w świecie popularyzację nowego języka Haupta? A może Haupt traktuje wolapik jako pretekst, synonim sztuczności jedynie, z pominięciem jego głównej funkcji i celu? Trudno powiedzieć. Krzysztof Rutkowski pisze, że *Haupt doszedł do wniosku, że większość chwytów literackich i metod pisarskich zużyła się, postarzała, albo straciła na poręczności, dodatkowo załamując lub kręcąc i tak wystarczająco kapryśne związki między słowem i rzeczą. Niechęć wobec literackości od zarania literatury stanowi jej znaczący nurt. Zamieniona w nienawiść – prowadzi do milczenia lub obłędu. Lekceważona – do grafomanii. A w przypadku Haupta?*

Dziewięć lat po wolapiku wprowadzano esperanto. Eksperyment się nie powiódł. Mimo to możemy mówić o odwiecznych, międzyludzkich, uniwersalnych komunikatorach. Artysta dysponuje nimi nie od dziś. To muzyka, to malarstwo. Haupt – zanim zaczął pisać – malował. Czy

zatem *Deszcz* nie jest próbą, szczególnego rodzaju próbą, połączenia obu warsztatów? Czy nie jest prozatorskim freskiem? Czy Haupt nie pisze tu, jakby malarz malował obraz?

Związki Haupta z malarstwem są oczywiste. W Paryżu zamiast chodzić na wykłady, Haupt chętniej zapełnia sztalugi. Po powrocie – by się utrzymać – malował stacje męki Pańskiej w wiejskim kościele i rysował dla „Gazety Ludowej". Kiedy został po raz pierwszy wyróżniony jako pisarz – nagrodą literacką „Kultury" – Jerzy Stempowski, jeden z członków jury, tak uzasadniał ów werdykt: *Związki między literaturą i malarstwem – od Owidiusza i Boccaccia do naturalistów i abstrakcjonistów – są znane. Rzadko jednak wydają się równie bliskie jak w prozie Haupta*. Ale i to nie wszystko. W numerze „Kultury" z października 1963 roku esej *O Haupcie* publikuje Józef Czapski. Pisze w nim sporo o malarstwie, malarzach i… Prouście! Przywoływany już komentator twórczości Haupta, Krzysztof Rutkowski, dostrzeże, że *„metoda Haupta przypomina malarstwo plenerowe, któremu sam proceder tłumaczenia widzianych zjawisk na mowę farb dostarcza potrzebnego dystansu*. Haupt swą pracę pisarską przekłada na warsztat malarski?

Czytaj dalej

Jakub Lubelski

Fragment tekstu, który ukazał się w 4. numerze Teologii Politycznej Co Miesiąc - kup miesięcznik i przeczytaj całość!

Ilustracja (źródło wikicommons): Thmoas Hart Benton *People of Chilmark*